

Bohdan Aniszczyk samorządowiec, działacz społeczny, nauczyciel akademicki (1992 – habilitacja w Instytucie Matematycznym PAN). Od 1990 r. radny miejski Wrocławia. Wieloletni członek zarządu miasta. Obecnie przewodniczący Komisji Edukacji i Młodzieży w Radzie Miejskiej. Wieloletni przewodniczący zarządu głównego Towarzystwa Pomocy im. Świętego Brata Alberta. Odznaczony Medalem Św. Brata Alberta za działalność charytatywną na rzecz osób bezdomnych i niepełnosprawnych umysłowo, Brązowym (2001), Srebrnym (2005) i Złotym (2015) Krzyżem Zasługi.

Mieliśmy naprawdę poczucie wolności

z Bohdanem Aniszczykiem
rozmawia Katarzyna Uczkiewicz

Katarzyna Uczkiewicz: Od pierwszych demokratycznych wyborów samorządowych upłynęło już ponad ćwierć wieku. Zasiada Pan w Radzie Miejskiej nieprzerwanie od 1990 r. Jak z perspektywy czasu widzi Pan ewolucję jej roli i znaczenia?

Bohdan Aniszczyk: Na początku mieliśmy naprawdę poczucie wolności i mówiło się o tym, że to my jesteśmy gospodarzami miasta. Sądzę, że teraz jesteśmy w regresie. Sytuacja powraca do czasów przed 1989 r. Powoli, powoli samorządność nam się w tej chwili odbiera – tak to czuję. Władze centralne i Urząd Marszałkowski patrzą łakomym okiem na to, co my w samorządzie miejskim wypracowaliśmy, pewne bogactwo, które się zgromadziło. To zresztą dotyczy tak samo każdej poprzedniej ekipy. Kiedy przypominam sobie początki, ten właśnie rok 1990, 91, 92, 93, to widzę dziś taki zdecydowany regres samorządności. W pierwszych latach przez te pierwsze sześć lat chyba do połowy drugiej kadencji, mieliśmy poczucie, że my tu rzeczywiście tworzymy historię. Wzięliśmy to miasto w swoje ręce i gospodarujemy, i próbujemy z tego miasta zrobić coś. Byłem zdumiony, kiedy się okazało, że chyba po roku czy dwóch latach, może trzech latach, rządzenia w tym mieście odkryłem, że wrocławianie się utożsamiają z Wrocławiem. Wydawało mi się, że to jest niemożliwe. Gdzieś tam w tyle głowy mam zapisane, że to było niemieckie miasto. I nagle miałem relacje ze środowisk nauczycielskich, które mi uświadomiły, że my tu jako wrocławianie czujemy, że to już jest nasze miejsce i dbamy o Wrocław. Pamiętam spór z Bogdanem Zdrojewskim, który zakazał nam startowania w wyborach parlamentarnych. Nawet nie tyle zakazał, co powiedział: albo tam, albo tu. Rozumieliśmy to tak, że decydując się na kandydowanie, muszę tu zaraz złożyć dymisję. Tam było niepewne, więc zdecydowało się tylko kilku, chociaż ja twierdzę, że powinniśmy całą

ekipą próbować i mówić: to ciąg dalszy naszej roboty, skoro sobie dobrze radziliśmy we Wrocławiu, a uważam, że sobie dobrze radziliśmy, więc po to nauczyliśmy się tu czegoś, żeby potem w następnym roku, drugim, trzecim, piątym pójść do Warszawy i robić podobnie, to to może dać taki sam efekt. Takie miałem przekonanie. Postawa Bogdana Zdrojewskiego, który powiedział „albo – albo”, w pewien sposób przekreślała nasze aspiracje. Ja twierdzę, że już wiele lat temu przestaliśmy być zapleczem dla ekip rządowych. Nawet jeśli ktoś był z Wrocławia, to był bez doświadczenia sprawowania władzy w praktyce, doświadczenia samorządowego. My niektóre rzeczy po prostu przeciwiczyliśmy, byliśmy praktykami. Przynajmniej ja miałem takie przekonanie, że jesteśmy praktykami w rządzeniu i mamy doświadczenie. Oczywiście, to jest specyficzne środowisko – duże miasta, ale jeśli ktoś ma tego świadomość, to mówi – dobrze, na tym się znam, tego pilnuję i to jest moją domeną. Wsią się nie zajmuję. Wsią niech zajmują się ci, którzy ją rozumieją, wyszli z niej, przeciwiczyli ją i tak dalej. Więc w tym sensie powrócę to tego, od czego zacząłem – nie zgadzam z tą myślą, że dopiero teraz rozumiemy i czujemy miasto... Ja twierdzę, że wtedy lepiej czuliśmy Wrocław...

Wiedzieliśmy, że sprawy są w naszych rękach i my musimy je rozwiązywać. W dyskusjach ścisłego grona zacząłem uczestniczyć w 1992 r. Wcześniej byłem dyrektorem MOPS-u. Ale potem postanowiono rozszerzyć zarząd i mnie dokooptowano do tej grupy. Wtedy dopiero byłem w szoku. Jako radny miałem, oczywiście, świadomość różnych rzeczy, ale to inaczej wygląda od środka, a inaczej na zewnątrz. W tym 1992, 93, 94 r. zawsze było nawoływanie: zróbmy coś z Rynkiem. No a Bogdan Zdrojewski, tutaj naprawdę oddaję mu cześć absolutną, mówił: pod warunkiem że jesteśmy w stanie zrobić go raz, a dobrze. W 1997 r. miał być we Wrocławiu Kongres Eucharystyczny i wizyta Jana Pawła II. Rok czy półtora roku wcześniej wiedzieliśmy, że Rynek musimy zrobić, już nie ma co czekać. Latem 1997 r. Rynek był więc świeżo oddany do użytku, więc gdyby go wtedy zalało, to nie byłoby dobrze. Ale na szczęście tak się nie stało. Według mnie mentalnie już wtedy przeskoczyliśmy pewien etap, już przed powodzią złapaliśmy tę całą tkankę miejską, całe bieżące funkcjonowanie było dla nas oczywiste. Już bezproblemowe – można powiedzieć, w tym sensie, że żadnych zasadniczych zmian, a przynajmniej takich, które by nas zaskakiwały, nie było. Można rzeczywiście zacząć projektować i planować. Założenie było takie, że Rynek jest tylko pierwszym krokiem. Byłem zszokowany, kiedy się okazało, że już nie pamiętam, że 30 czy 40% mieszkań we Wrocławiu nie ma łazienki i toalety wewnątrz.

Więc sobie potem uświadomiłem, że przecież nawet u mnie w kamienicy połowa ludzi ma toaletę na półpiętrze. To było wyzwanie. Takich budynków mieliśmy kilkadziesiąt tysięcy, więc jeśli nawet byśmy remontowali ich 100 rocznie, to przez cały wiek tego nie będzie widać. Zapadła decyzja, że centrum musi się samo podnieść. Uruchomiono pewne procesy, które sprawiły, że już nie musieliśmy o tym myśleć. Dla nas było oczywiste, że zaczyna się nowy etap w rozwoju Wrocławia.

K.U.: Czy w roku 1990, decydując się na wejście w tę samorządność, która się dopiero budowała, w ogóle myśleliście o tym, jaki będzie Wrocław nie za dwa czy trzy lata, a za lat dwadzieścia pięć?

B.A.: Mogę mówić tylko w swoim imieniu, ale w tej ekipie przeżyliśmy dwanaście lat w zgodzie i harmonii, więc pewnie myśleliśmy podobnie. Myśleliśmy podobnie, a to był szczególny, jedyny w swoim rodzaju moment: były bieżące sprawy, ale także oczywiste decyzje, które trzeba było podjąć, jeżeli chodzi o handel, wygląd miasta; podstawową kwestią była komunikacja. Dla mnie był fascynujący udział w pracach strategicznych. Pisaliśmy strategię, a potem wieloletni plan inwestycyjny i tak dalej. I to była fantastyczna praca. Zajmowałem się strefą społeczną, ale to nie znaczy, że nie interesowały mnie inne aspekty – wszystko musi być ze sobą połączone. Nauczycielem dla nas był profesor Zipser, tak przynajmniej go odbierałem. To on nam pokazywał i to było dla mnie odkrycie, że wszystkie najważniejsze struktury miasta zostały zaplanowane na początku XX w. Więc właściwie my tylko powinniśmy spokojnie spróbować zrealizować, wypełnić ten ich plan. Jeżeli chodzi o przestrzeń, przynajmniej to dla mnie było czytelne, że wiele rzeczy jest po prostu wyznaczonych i należy wprowadzać ewentualnie korekty, ale zasadnicze determinanty struktury Wrocławia są gotowe i tego się nie ruszy. Wtedy się okazało, że przede wszystkim potrafimy się tak zorganizować, zaoszczędzić, żeby były duże pieniądze na ważne przedsięwzięcia. Bardzo pomogła nam powódź 1997 r. Oczywiście, wszyscy bardzo się martwili, ile majątku zostało zniszczonego, ale bez tego nie byłoby rozwoju. Właśnie ta powódź nam trochę udroźniła parę rzeczy: po pierwsze, rzeczywiście trochę się zniszczyło w związku z tym trzeba było pomyśleć globalnie o zagospodarowaniu przestrzeni, a po drugie, rzeczywiście przyszły bardzo duże pieniądze w porównaniu z tym, czym wcześniej dysponowaliśmy. Nie przyszły bezpośrednio dla nas. Okazało się, że wiele instytucji potrafi absorbować środki, występować o nie, korzystać z tego dobrodziejstwa. Pamiętam, że któreś z tych miast nad Odrą obroniło się

przed powodzią i wszyscy byli zadowoleni, a potem się okazało, że owszem oni się obronili – mieli tylko koszty i żadnych korzyści. Nas zalało totalnie, wydawało się – tragedia, a tu się okazało, że to był gigantyczny kop rozwojowy. Jedno, co wtedy było ważne, to decyzja, że nie odbudujemy tego samego, chociaż takie były założenia programowe tej pomocy. Okazało się, że możemy robić z tamtych pieniędzy coś nowego w zamian, że nie trzeba koniecznie remontować starej substancji, iż można zbudować zupełnie gdzie indziej. Szkołę można przenieść. Szpital można próbować przenieść, bo jest w niewłaściwym miejscu i jak się powódź zdarzy znowu, to będzie podobnie. Więc w tym sensie powódź była dla struktury miasta dobrodziejstwem. Co więcej, wtedy uświadomiłem sobie, że jesteśmy społecznością. Że wrocławianie to jednak jest osobny gatunek człowieka, że ludzie identyfikują się z miastem. Budujące było przekonanie ludzi, że prezydent Zdrojewski jest prawdziwym gospodarzem i jemu można zaufać.

K.U.: Tymczasem w dwa lata po powodzi przyszła reforma samorządowa rządu Jerzego Buzka. Jak wiele się z Pana perspektywy zmieniło?

B.A.: Stało się wtedy coś, co skutkuje do dziś – mianowicie samorzady się upolityczniły. Do 1998 r. przez pierwsze dwie kadencje byliśmy po prostu Radą Miejską, potem to już musieliśmy zawiązywać polityczne koalicje. No i trzeba było się łożyć. Już w samym zarządzie patrzyliśmy na siebie trochę podejrzliwie, bo tam był Andrzej Jarocho, Grzesiu Oszast i jeszcze ktoś z AWS-u, no i my ze starej ekipy. Zaczęły się podziały. Nie byliśmy już grupą, która mówi jednym głosem i w związku z tym ludzie mają się z czym utożsamiać. Natomiast twierdzą, że byliśmy zdroworozsądkowi – dyskusje na zarządzie to były takie, że każdy miał swoją działkę, tak jak teraz zresztą, tylko wtedy byliśmy jednym ciałem. Ja się zajmowałem sprawami społecznymi, więc referowałem swoje i referowałem to poprawnie i o tym dyskutowaliśmy, ale właściwie to każdy interesował się swoją działką. Nie miałem czasu się wgryzać we wszystko.

K.U.: Dużą zmianą było wprowadzenie wyborów bezpośrednich na prezydenta miasta, bo zmieniło rolę Rady Miejskiej...

B.A.: Moim zdaniem we Wrocławiu dużej różnicy nie było. Nawet można powiedzieć, że wróciła sytuacja, w której Bogdan Zdrojewski był rzeczywiście liderem i z nim się dyskutowało. Rzeczywiście przed reformą Rada Miejska była jednak takim miejscem, gdzie się próbowano dogadywać, chociaż było parę osób, które lubiły tak zaostryc

sytuację. Dyskusje o planach zagospodarowania i strategii najczęściej robiły się, że tak powiem, bardziej emocjonalne niż merytoryczne, chociaż czasem to było celowe. Ja to tak odbierałem, że taka konfrontacja jest także merytoryczna. Ja mam takie doświadczenie, że jeśli się konsekwentnie prezentuje stanowisko merytoryczne, to ono się przebija. Widzimy świat tak, jak go nazywamy. Więc jeśli ja go nazywam konfrontacyjnie, to ja go widzę konfrontacyjnie. Jeśli ja próbuję go nazywać tylko i wyłącznie merytorycznie, zmuszam innych, żeby też patrzyli na to w ten sposób. Przynajmniej ja mam takie przekonanie...

K.U.: Na ile był Pan w stanie wówczas (w 1990 czy w 1999 r.) wyobrazić dzisiejszy Wrocław? Na ile jego rozwój, ale i problemy odbiegają od tego, co Pan był w stanie wówczas przewidzieć?

B.A.: Wydaje mi się, że specjalnych niespodzianek nie ma.

Myślę, że my, jako władza, cały czas nie czujemy takich zjawisk, jak partycypacja czy interesy małych wspólnot, jako ważnych rzeczy. Na przykład dyskusja wokół rad osiedla to jest przedsmak tego, że trzeba się pochylić nad potrzebami mniejszych społeczności. Muszę powiedzieć, że cały czas mam pewien wyrzut na sumieniu, że z jednej strony domagaliśmy się respektowania przez władze państwowe naszych praw do rządzenia miastem, ale odmawialiśmy praw naszym mieszkańcom do osiedlowego czy nawet podwórkowego organizowania się i zarządzania. Przykład z radami osiedli jest cały czas aktualny. Nie mamy koncepcji, jak wykorzystać rady osiedli. Utworzyliśmy je, jak ja to widziałem, z przymusu, bo taki był wtedy pomysł, ale nie daliśmy kompetencji. Nie mówiliśmy tego głośno, głośno mówiliśmy, że rady mogą opiniować, opiniować, opiniować...

My się trochę nadmiernie boimy różnych inicjatyw, które oznaczają wyrażenie opinii przez społeczność. Boimy się tego my, jako władza, bo one najczęściej są krytyczne i takie, że tak powiem, roszczeniowe. My tego nie lubimy, bo być może trzeba będzie zmienić własne poglądy albo zmienić swoje priorytety, albo zacząć myśleć o czymś trochę inaczej. Czasem mi się wydaje, że w sferze społecznej wrócimy do równowagi. Problem jest w tym, że nie jesteśmy przygotowani do dialogu obywatelskiego

To nie jest kompetencja do wyuczenia raz na zawsze. To się powinno ćwiczyć latami. Konkretny przykład, jak to robić, to jest w tej chwili Parlament Młodzieży Wrocławia. Oni mają taką specyficzną strukturę: mianowicie jest prezydium, które

jest wybierane w innym czasie niż wszyscy radni, co jakiś czas wybiera się inne organy. To są takie instrumenty, które w naszym systemie politycznym nie występują. Niektórym się to w głowie nie mieści. Mówią: jak to, przecież trzeba im tam ten regulamin napisać dokładnie tak jak u nas. A ja mówię: nie! Niech ci młodzi ludzie zobaczą, że można funkcjonować inaczej, że można mieć inne reguły i to też działa.

K.U.: Dziękuję za rozmowę.